

Kończąc, chciałem powiedzieć, że – w mojej ocenie – póki co (i na szczęście) kraje i narody Europy wykazują jeszcze dość instynktu samozachowawczego (czego dowodem jest m.in. odrzucenie wspomnianego przed chwilą projektu konstytucji europejskiej). Rokuje to wcale nienajgorzej naszej europejskiej kulturze i jest dobrym testem jej trwałości, zdrowia i wigoru. Wciąż mamy dość sił, by skutecznie stawić czoła biurokratycznej opresyjności, manipulacjom i przewrotnym ideologiom. Również w nauce i filozofii, mimo postmodernistycznej czkawki, ciągle jeszcze skutecznie udaje nam się unikać zarówno manowców relatywizmu, sceptycyzmu, nihilizmu i agnostycyzmu, jak i intelektualnego rozmemłania i bylejakości.

**Sławomir Kapustka**

## O możliwym końcu człowieka

*О возможном конце человека*

Temat naszych obrad sugeruje, iż istnieje taka możliwość, że kultura europejska zejdzie ze sceny kulturalnego życia naszego świata (tak na przykład, jak kiedyś odeszła w niebyt pod naporem sił natury i barbarii Achajów kultura minojska), a mimo to „człowiek”, a więc i jego pojęcie, jego samorozumienie pozostanie niezmienione. Tymczasem ów „człowiek” jest właśnie wytworem i twórcą tejże (osadzonej w cywilizacji łańskiejskiej, lecz czerpiącej obficie również z antyku) kultury, która jest dla niego jedynym niemal intelektualnym żywicielem i egzystencjalnym (w potocznym znaczeniu tego słowa) schronieniem. Zatem, zgodnie z powyższym wnioskiem, początek „nowego człowieka” nie jest możliwy bez upadku kultury europejskiej, zwłaszcza że pośród rozmaitych innych wytworów ducha, nasza kultura eksponowane miejsce rezerwowała właśnie dla prób rozwiązania „delfickiej zagadki”: *gnothi seauton*. Pytanie nasze, po tym wstępnym przekształceniu, brzmi zatem właściwie, zatrważająco i intrygująco zarazem, tak: „czy obserwujemy właśnie koniec kultury europejskiej, co w istocie oznaczałoby również koniec człowieka?”. Pewne zjawiska, łącznie zwane globalizacją, mogłyby przypuszczenie takie potwierdzać. Jednak jeśli nawet to nastąpi, to nie nastąpi to prędko, jak mniemam, ale... ale po kolei.

Zarówno z antyku, jak i z czasów dominacji chrześcijaństwa znamy niezliczoną ilość mniej lub bardziej udanych prób poznania samego siebie, których efektem są różne, czasem wykluczające się wzajem, koncepcje „człowieka”. Od

tych osadzonych w myśleniu magicznym, wyrosłych na gruncie mitów, przez religijne projekty dzieci bożych i ewolucyjną teorię wybitnie zdolnego ssaka napędzanego przez nieuświadomione popędy, aż po ambitne (bliskie piszącemu te słowa) próby uczynienia z zagubionej we wszechświecie istoty autonomicznego, wolnego i w pełni odpowiedzialnego, racjonalnego podmiotu – „człowieka” właśnie. Naturalnie, można się w nieskończoność spierać, przytaczając całą masę argumentów za i przeciw poszczególnym koncepcjom, dowodząc wyższości jednej koncepcji nad inną. Przyznać jednak musimy, że poza sporem pozostaje fakt, iż żadna z wymienionych (i niewymienionych) koncepcji nie jest tak powszechnie olśniewająca i intelektualnie zniewalająca, aby nie można było mieć wątpliwości co do jej pełnej adekwatności.

W istocie jednak stajemy dziś, tak jak i dawniej, nadzy przed naszym antropologicznym krzywym zwierciadłem, wciąż nieporadni i pełni wątpliwości, choć uposażeni przecież w niezmierzone bogactwo naukowych odkryć i teorii. Wydaje się nam niekiedy, iż sporo już wiemy o sobie, jednak byłoby to możliwe tylko wtedy, gdybyśmy wprzód założyli, iż naukowe poznanie jest pewne, w pełni wyczerpuje ono nasze potrzeby poznawcze, i że naukowa perspektywa wypełnia całość rzeczywistości. To jednak jest, czy bywa raczej przedmiotem najcięższych, brzemiennych w swoiste niezaspokojenie wątpliwości i wielowiekowych sporów. W związku z tym warto byłoby postawić sobie takie pytanie: czy grecki bóg poprzez swoje śmiertelne medium postawił przed nami niewykonalne zadanie? Albo inaczej jeszcze: „czy potrafimy zrozumieć i zaakceptować samych siebie niewplecionych w celową i moralną historię świata; pojąć siebie jako przypadkowych, chwilowych i nieistotnych właściwie przekazników DNA?”.

Wydaje się to niepodobieństwem po tym wszystkim czego już dokonał (i czego jeszcze zapewne dokona) ten zwinny ssak, zwłaszcza po tym jak nauczył się stawiać pytania (również te, na które nie znajduje wciąż satysfakcjonującej go odpowiedzi), pytania, które stymulują przecież proces rozwoju kultury i nauki. Choć odpowiedzi twierdzącej na drugie z powyżej postawionych pytań nie możemy *a limine* odrzucić, to – za Wittgensteinem – uznać jednak musimy fakt bezsporny, to mianowicie, iż: „(...) gdyby nawet rozwiązano wszelkie *możliwe* zagadnienia naukowe, to nasze problemy życiowe nie zostałyby jeszcze nawet tknięte”<sup>1</sup>. Inną sprawą jest już jednak sama możliwość jednoznacznego rozstrzygnięcia tego, czy ów pałacy „życiowy problem człowieka” jest skutkiem projekcji w rzeczywistość naszego myślenia życzeniowego, czy też jest on przejawem transcendentnej rzeczywistości i transcendentalnej natury „człowieka”? Ewentualna odpowiedź na tę wątpliwość wymagałaby jednak zajęcia jednoznacznego stanowiska również w stosunku do powyższego pytania i pozostaje w związku z tym, tak jak i owo pytanie, bez jednoznacznej odpowiedzi. Nawet

<sup>1</sup> L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, przeł. B. Wolniewicz, Warszawa 2004, s. 82.

bowiem przyjęcie pierwszej możliwości, czyli projekcji życzeń do rzeczywistości (wynikającej, powiedzmy, ze strachu przed śmiercią), nie wyjaśni nam przecież skąd wzięła się w ogóle możliwość dokonania tego zabiegu oraz sam pomysł innej rzeczywistości. Znaczy to tyle, że myślenie nasze o samych sobie, być może z konieczności uwikłane jest w koło bez końca i bez początku, nie znaczy to jednak, wbrew popularnym opiniom, że *anything goes*. Nie, nie wszystko bowiem jest dowolne, nie wszystko jest przypadkowe i nie wszystko mogłoby być inaczej. To, że coś jest lub może być dziełem przypadku, na przykład nasze istnienie, jest bezsporne, ale samo to stwierdzenie dziełem przypadku już nie jest i wynika całkowicie z celowej i przyczynowej konstrukcji naszego umysłu. Bogusław Wolniewicz we *Wstępie do Traktatu Wittgensteina* pisał wręcz, że: „Wszystko w świecie jest przypadkiem i mogłoby być inaczej, ale to, że coś w ogóle jest przypadkiem, już przypadkiem nie jest”<sup>2</sup>. Jeśli więc czujemy się przymuszeni stwierdzić, iż taka właśnie jest struktura naszego umysłu, a poza nim nie znajdujemy innej rzeczywistości, to absurdem byłoby twierdzić, że gdzieś, jakoś istnieje inna bezcelowa, wolna od związku przyczynowego, przypadkowa realność niedostępna naszemu poznaniu, nie byłaby to bowiem realność właśnie. Nie znaczy to jednak, że jakiegóż innej rzeczywistości w ogóle nie ma.

Nasza kultura pełna jest podobnych pułapek intelektualnych i pytań, na które nie znajdujemy jednoznacznej odpowiedzi. Jedno jednak jest tu pewne. Pytanie o człowieka stanowiło i – jak widać – stanowi, a pewnie przez czas jakiś stanowić jeszcze będzie fundament naszego życia kulturalnego, pomimo krzyków i protestów wszelkich antymetafizyków. Jak bowiem minerały z gleby, pierwiastki z powietrza i ciepło słoneczne żywią łącznie drzewo, tak fundamentalne pytania, z którymi borykają się od wieków filozofowie, napędzają i żywią naszą kulturę. Zaprzestanie prób odpowiedzi na nie, innych niż naukowe, byłoby zaś równoznaczne w kulturze z odcięciem owego drzewa od życiodajnych wpływów natury, po czym z pewnością drzewo to by obumarło.

Odpowiadając więc na pytanie postawione przed uczestnikami Okrągłego Stołu, mogę jedynie, by pozostać w zgodzie z sumieniem i z powyższym wywodem, postawić kolejne pytanie, albo co najwyżej, sformułować sąd warunkowy. Otóż, jeśli porzucimy pytanie o człowieka, bo utraci ono dla nas swój urok, swą żywą wciąż moc przyciągającą niebanalne umysły, to oznaczać to będzie bezspornie koniec kultury. Oczywiście nie musiałoby oznaczać to końca świata w ogóle, a jedynie koniec świata takiego, jaki znamy. Świata, w którym kultura europejska, z pytaniem o „pokrzywione drzewo człowieczeństwa” zajmującym w niej miejsce honorowe (jakkolwiek egocentrycznie by to nie zabrzmiało), jest dla nas swoistym, duchowym habitatem. Osobiście nie sądzę, aby miało to prędko nastąpić, niemniej, pouczony historycznym doświadczeniem, muszę przyjąć,

---

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. XXXVI.

iz na pewno kiedyś to nastąpi i to absolutnie bez względu na nasze wobec tego zdarzenia obiekcje.

Póki co jednak nasze czasy, na które przychodzi nam często narzekać (mamy zresztą dobre i rozliczne ku temu powody), możemy wpisać w cykliczny, albo lepiej sinusoidalny cykl, ciąg wzlotów i upadków kultury europejskiej, porównywalny ze średniowieczną zapaścią kulturalną symbolicznie rozpoczynającą się po 529 (realnie nieco później) roku naszej ery. Z tą jednak różnicą, iż charakter tamtej zapaści był raczej ilościowy, podczas gdy obecna ma wymiar bardziej jakościowy, mamy bowiem obecnie mnóstwo instytucji i „produkcji” kulturalnej, lecz jakość instytucji, a co za tym idzie jakość „produkcji kulturalnej”, znacznie (nawet w stosunku do lat PRL) podupadła. Można by się tu pokusić o stwierdzenie, iż w naszych demokratycznych czasach, gdzie dostęp do kultury jest powszechny i globalny, poddany ponadto prawom podaży i popytu, wskutek dołującego sprzężenia zwrotnego, „produkcję kulturalną” zastąpiła niemal całkowicie produkcja popkulturowa, czyli swoisty wyrób kulturopodobny. Można się tu także pokusić o porównanie ocierające się o kpinę, iż tak, jak w nieodległych, acz słusznie minionych czasach, byliśmy z konieczności konsumentami wyrobów czekoladopodobnych, tak obecnie skazani jesteśmy na konsumpcję wyrobów kulturopodobnych. Nie byłaby to jednak cała prawda o naszych czasach, nie jest bowiem aż tak źle. Dość więc już tych lamentów, czas teraz na to, aby spojrzeć panoramicznie na naszą kulturę i na perspektywę, jakie się przed nią otwierają i jakie się zamykają, obie nieuchronnie.

Miarą wielkości myśliciela rozważającego przyszłość kultury jest, paradoksalnie (inaczej więc niż w przypadku naukowca, którego miarą i miara wielkości jest głównie projektowanie przyszłości, i inaczej niż w przypadku historyka, dla którego miarą wielkości jest projektowanie przeszłości), trafność oceny czasów, w których przyszło mu żyć i myśleć. Tęsknimy do tętniących życiem i pachnących rewolucją świadomości momentów naszej kultury, w których to w romantycznych porywach ruszaliśmy z posad bryłę świata, w których malowaliśmy wielkie syntezы rozwoju ducha. Tęsknimy do momentów kiedy myśl faktycznie, na naszych oczach zmieniała otaczającą nas rzeczywistość społeczno-polityczną. Myśl europejska osiągała wtedy apogeum sinusoidy i promieniowała na cały piśmienny świat i był to na pewno powód do dumy. Musimy jednak pamiętać również o pewnych skutkach ubocznych owej eksplozji ducha. Musimy bowiem pamiętać, iż pokłosem owych śmiałych, prometejskich wręcz wizji były także, a być może głównie w pamięć zapadające okrucieństwa, jakich historia wcześniej nie znała, oraz niesłychane, niebywałe i niewyobrażalne cierpienia, upokorzenia i zbydlęcenie doznawane i zadawane przez człowieka. Ogrom tych cierpień każe mi przychylniejszym nieco okiem spojrzeć na współczesnego, płaśkiego w istocie i „jednowymiarowego”, hedonistycznego, konsumpcyjno-komercyjnego, „pop-człowieka” doby ponowoczesności oraz na nasze plastikowe, jednorazowe czasy. Niezdolny do wielkich rewolucyjnych zrywów i ponad-

czasowych osiągnięć kulturalnych, współczesny człowiek nie jest też jednak zdolny do zaprojektowania nowej „fabryki śmierci”, nowego Gułagu. Żywi się on co prawda kulturalnym śmieciem i śmieć taki zwrótnie produkuje, ale taka jest – jak się wydaje – cena spokoju, dostatku, sytości i bezpieczeństwa. „Nic za darmo” – jak powiadał Roman Suszko. A poza tym, czy nie o tym zawsze marzyliśmy? Czy nie po to tworzyliśmy syntezy dziejów i nie po to podejmowaliśmy rewolucyjne zrywy, żeby osiągnąć ów błogostan? Czy nie żyliśmy w tęsknocie i nie projektowaliśmy społeczeństw żyjących w pokoju z sąsiadami? Czy, wreszcie, to wyłączenie kultury nie jest tym, do czego zmierzaliśmy? Jeśli tak, to nie mamy prawa narzekać, bowiem w naszej rzeczywistości nie ma „nic za darmo” – zapomnieliśmy o tym?

Kończąc już, zauważmy, iż jeśli przyjąć, że stan kulturalnej degrengolady może trwać i pogłębiać się, powodując coraz bardziej letalne stany duchowości powszechnej oraz zupełny upadek rozumu i zanik geniuszu, to ostateczny upadek kultury europejskiej z pewnością nastąpi, być może nawet wkrótce. Tyle tylko, że skoro barbarzyńcy stoją już u bram Europy, a w nas pozostał jeszcze ślad jakiś choćby kulturowego instynktu samozachowawczego oraz dość siły do tego, by się skutecznie przed naporem barbarii bronić (a mam nadzieję, że tak), to sinusoida kultury powinna rychło odbić się od dna i powędrować ku górze, ku świetlanej przyszłości, wielkim syntezom i śmiałym projektom. Czego też, wyjąwszy negatywne skutki uboczne owego wzrostu, wszystkim Europejczykom, oraz sobie, rzecz jasna, szczerze życzę.

## Jacek Breczko

Uniwersytet Medyczny w Białymstoku

### **Zwycięstwo liberalnej wizji niezmiennej natury ludzkiej jako zagrożenie**

*Победа либерального видения неизменной человеческой природы как угроза*

Chciałbym zacząć od myśli, że obraz, wyobrażenie człowieka, jaki posiada dana kultura, wpływa w sposób istotny na jej kształt. Mówiąc w wielkim skrócie, takie będą Rzeczypospolite, jakie ich antropologie. Jest to związane ze znaczną plastycznością natury ludzkiej, z „otwartą architekturą” człowieczeństwa. „Człowieczeństwo to poniekąd eksperymentowanie z ideą Człowieka” – jak stwierdziła prof. Jadwiga Mizińska. Jeśli zatem w wyobrażeniach antropologicznych danej kultury dominuje wiara w fatum, czy w konieczność historyczną,